

♦ jutrenka ♦

dodatek tygodniowy „expressu zagłębia” dla dzieci i młodzieży
pod redakcją czarnego wujaszka

Rok II.

Sosnowiec, niedziela 24 stycznia 1937 roku.

Nr. 4

W GORACH



WSRÓD OLBRZYMICH GÓR SKALISTYCH,
W ICH OGROMIE, W CHŁODNEJ GROZIE
CZĘSTO ZNAJDZIESZ U PODNÓŻY
JAKIS CICHY KĄT W WAWOZIE.

JAKIS TAKI NAGŁY ZAKRĘT,
GDZIE SPOKOJNIE LUDZIE KROCZA.
TU PO SZCZYTÓW ZDOBYWANIU
MOŻESZ DUMNY SOBIE SPOCZAĆ.

SLEPY WROBEL

W zimowy, mglisty ranek, przechodząc przez ogród, zbliżyłem się do ogromnego kasztana; na jednej z niskich, bocznych gałęzi siedział wróbel, napuszony, jak szara kulka.

Ani drgnął, chociaż przystanąłem bliźutko tak że byłbym go mógł dosięgnąć końcem parasola.

Zastanowiło mnie to i zacząłem z zajęciem obserwować tak bardzo, zda wałoby się, oswojoną ptaszynę.

Od czasu do czasu sobie poćwierkiwał i jakby gadał coś po cichu do siebie, przytem przeskakiwał w bok

i z powrotem na swojej gałęzi, to czasem się odwracał, a wciąż na jednym miejscu.

Liście wszystkie z kasztana już dawno opadły, widać więc było całe drzewo bardzo dokładnie.

Podniosłem na próbę rękę do góry, a wróbel — nie. Powinien był przebie uciec. Czyżby mnie nie widział?

Zaciekawiony odszedłem kilka kroków i przystanąłem, patrząc, co będzie dalej.

Poćwierkuje sobie mój wróbel i

poćwierkuje a od czasu do czasu skacze, tam i z powrotem, na tej małej przestrzeni.

I tak w kółko.

Nareszcie zrozumiałem: ślepy...

Patrzę dalej. Upłynęło kilka minut — i oto na jednej z wyższych nieco gałązek nad biednym ślepcem usiadł inny wróbel: ruchliwy, krzepki. Widocznie młody.

Przyptrywał się staruchowi i jakby go zagadywał ćwierkaniem.

Ślepiec coś odpowiadał, zwróciłszy główkę w jego stronę.

Po chwili przyleciały jeszcze dwa wróble, i zaczęła się rozmowa na dobre tamte trzy ćwiarkały a ślepiec jakby im odpowiadał.

Widocznie rzecz musiała być zajmująca, bo trzy wróbelki zbliżyły się jeszcze bardziej do ślepego ptaszka.

Wtem przechodzący ścieżką tuż o bok chłopczyk rzucił na trawnik garstkę pokruszonej bułki. Ot, tak, mimochodem — i poszedł dalej.

Spostrzegłszy to, trzy wróbelki podniosły wielką wrzawę i zleciały

na trawnik. Zgiełkliwym pędem ich porwany, kierując się widocznie słuchem, sfrunął za nimi na trawnik także ślepiec.

Tamte zabrały się żwawo do jedzenia, poskakując to tu, to tam, a on stał w miejscu i ćwierkał bezradnie.

Wreszcie jakby sobie przypomniał czasy, kiedy to karmił swoje małe, zaczął otwierać dziób i pokrzykiwać: że głodny.

I oto jeden z młodych wróbelki, zrozumiawszy widocznie, o co chodzi,

zbliżył się i wetknął mu dziobkiem kruszynę bułki do otwartego gardziolka.

Widząc to, i oba inne wróble zabrały się do roboty...

Tak ślepego wróbla nakarmiły wróble. Z pewnością go już nie opuszczają.

Odszedłem głęboko wzruszony — i wy byście tak samo odeszli wzruszeni — że małe, mizerne ptaszyny, okazały tyle współczucia i wspomogły bliźniego w niedoli.

J. R.

Królestwo niedźwiedzi

Wysoko w górach, w pobliżu Szumiącego Potoku obrąta sobie mieszkanie rodzina niedźwiedzi. On głowa i siła rodu, chodził na wypiuwy po miód. Nie było go po kilka dni w domu. A gdy wracał — zabierał wszystkich ze sobą i prowadził w kierunku odkrytej barci.

Wówczas raczono się obficie słodkimi plastrami, zrzucanymi z wysokiego pnia drzewnego na ziemię przez ojca.

Potem trzeba było wracać do domu, to jest do niskiej pieczary, wysłanej miękką igliwem i mchem.

Czworo maleństw swawolilo dookoła poważnej niedźwiedzicy, a ojciec wygrzewał się na słońcu, leżąc na zboczu góry.

Po lesie unosiły się duszące zapachy lata. Powietrze pachniało mącą żywicą. Po niebie płynęły leniwie białe, puszyste obłoczki. Ojciec niedźwiedź mrużył oczy pod blaskiem słonecznego żaru i przyglądał się leniwie swawolącej gromadce.

Gdzieś w dali zastukał dzięcioł. Kukułka wykukiwała coś uparcie w dąbrowie. Kos, czarny napuszony, gwizdał przeciągle w gęstwinie jałowca.

Nagle na ścieżce obok Szumiącego Potoku zadudniły czyjeś kroki. — Niedźwiedzica skryła się do nory przywołując mrużeniem i sapaniem niesformą gromadkę dzieci.

Ojciec niedźwiedź podniósł się z puszystej trawy i pochyliwszy głowę ku ziemi nadśluchiwał.

Para świstaków, mieszkających w pobliżu już skryła się do swej norki, już kukułka przestała kukać w gęstwinie, kos nawet nie śpiewał. Wszystko przycichło i przycichło.

Nagle ojciec niedźwiedź dostrzegł na ścieżce idących ku górze ludzi. — Jeszcze raz obejrzał się za niedźwiedzią, a widząc, że gromadka jego w bezpiecznym miejscu postanowił działać.

Skoczył więc w bok i po drugiej stronie ścieżki wylonił się z niskich jałowcowych krzaków.

Idący ścieżką wieśniacy dojrżeli go rychło.

— To on, to on, zaczęli szeptać między sobą. Pokazywali go sobie palcami i już gotowali jakieś sznury i sieci sprytnie powiązane.

— Niedźwiedź powinien nas gonąć, szepotali do siebie. Rzućcie pastki na trawę!

I nagle zdumiony ojciec niedź-



Narty, wy moje narty,
Górne wy moje gkrzydła,
U krzepkich nóg upięte,
Na rzemiennych wędziadłach.

Nieście mnie po tym śniegu,
Co blaskiem słońca pali,
Przed siebie, w świat, przed siebie,
Wciąż dalej i wciąż dalej!!!

wiedź zobaczył, że goście zawracają.

— Przeleki się mnie, pomyślał. No ale dam ja im bobu. Nie przyjdą drugi raz przeszkadzać.

Pogonił więc za nimi. Jakież jednak było jego zdumienie, gdy ujrzał wkrótce, że prześladowcy porzucili coś na ziemi i uciekają coraz szybciej.

— Acha myślał dalej, zgubił coś. Podejdę i zobaczę co to takiego! Podszedł więc do pastki i powąchał. Było to jakieś zawiniątko niepozorne niewielkie, ale pachniało miodem. To wystarczyło, żeby zachęcić niedźwiedzia.

Podszedł więc jeszcze bliżej, rącił zawiniątko nosem. Potem spróbował łapą rozrzucić łachmany i nagle zarzeczal przeciągle z bólu. Oto noga niedźwiedzia wbiła się w jakiś przyrząd ostry, który zawinął mu się dokoła przegubów wpijając się w futro, w skórę, w kości nieledwie.

Chłopi posłyszawszy ryk niedźwiedzia wrócili się.

Przstanęli za drzewami.

Nadśluchują.

A niedźwiedź wciąż ryczy aż ziemia się trzęsie w posadach, aż las drży od wierzchołków do korzeni, aż ptaki pocichły wszystkie w gęstwinie zielonego igliwa.

Wówczas chłopci zbliżyli się jeszcze bardziej. Podeszli tuż do wijące go się w bólach, szamocącego się króla lasu i zaczęli rzucać na niego powrozy, sznury i dery jakieś mocne. Przvkrzyli go tak doszczętnie.

Ryk niedźwiedzia przycichł, stał się jakiś głuchy belkotliwy. Przyczajona w pieczarze niedźwiedzica kreciła się niespokojnie, wreszcie nie wytrzymała i ruszyła na zwiady.

Gdy była już w pobliżu, serce jej zahalo mocno w kosmatych piersiach ze zgrozy. Oto jej mąż, niedźwiedź nad niedźwiedzie, pan lasu nad Szumiącym Potokiem, leżał skępowany

powrozami na zielonej murawie i nie mógł nawet ryczeć bo paszczę miał omotaną kłębowiskiem szmat i sznurów.

Zaryczała niedźwiedzica i rzuciła się jak szalona na wrogów swego rodu. Już dosięgła jednego z nich pazurami, już miała mu głowę rozplatać jednym uderzeniem potwornie silnej łapy, gdy huknął strzał po lesie sosnowym i niedźwiedzica zwała się na darń zieloną bez życia.

Chłopi pochyliłi się nad nią.

— Ha, ha, odezwały się głosy. — Mamy ich teraz wszystkich. Już dosyć było tego ich panowania nad Szumiącym Potokiem. Już dosyć na straszliki kupców, ludzi natarpałi, namordowali. Ani chybi to były ich sprawy. Przejść nie można było tędy, zaraz wyskakiwali z jamy, jak te diabły!

Skończyło się niedźwiedzie panowanie nad Szumiącym Potokiem.

— Mało to owiec narodzierali! — żalił się drugi chłop.

— Tego to spiedzamy do zwierzynca, doradzał inny.

I związawszy jeszcze silniej strego niedźwiedzia, zaindowali go na wóz, potem wrzucili obok niego na deski niedźwiedzicę i pojechali w tryumfie ku nizinom, gdzie mieszcili się ludzkie sadyby.

Na drugi rok, gdy słonko wyjrzało zza chmur, stalowo - burzył i człociło blaskiem niezwykłym góry i lasy, górale pognali owce ku halom.

Nie ma już burych mówili do siebie wesolo. Nie ma już niedźwiedzi w smerkowym lesie!

Nagle na ścieżce ukazały się cztery kosmate postacie. Jak szalone rzuciły się w stado owiec i rozpoczęły walkę.

Pastuszkowie zbiegli z gór do wioski położonej na nizinach i przynieśli zatrważającą wiadomość. Ludzie kiwali głowami — wiadomo nie wytępisz niedźwiedzi w ich leśnym królestwie!

Odtąd boją się chłopi przechodzić w pobliżu Szumiącego Potoku, choć już ostatni niedźwiedź padł na białym śniegu — choć już tylko świstaki i kozice skaczą po lesie.

Dwoje przyjaciół



Leniuszek

Spod pierzynki wytknął buzię,
Ziewnął sobie raz,
Na siostrzyczkę spojrzął Fruzie —
Ach, mam jeszcze czas.

O, nieładnie to Jurczku
Do południa spać!
Zamiast biegać przy słoneczku —
Musisz zaraz wstać!

A słoneczko słicznie świeci
I usmiecha się
Ono kocha pilne dzieci —
Ciebie Jurku nie!
Ciebie Jurku nie!

M. J.

W RADIOSTACJI

Przed kilku dniami byliśmy z wycieczką w radiostacji.

Naprzeciw wejścia widnieje napis: „Baczność, wysokie napięcie.“ Jest to hala maszyny. Poprzez szyby przelaliśmy trzy olbrzymie maszyny, przy których płonęły kolorowe światła i przymocowane były jakieś zegary. Nie wchodziliśmy tam, bo i tak niewiele zrozumielibyśmy z tych urządzeń.

Zaprowadzone przez p. kierownika radiostacji weszliśmy do studia. Studio jest to małeńki pokój, którego ściany wyłożone są specjalną masą z wytłuszczonej trzciny cukrowej z domieszką azbestu. Ściany tą wyłożone są po to, aby głos nie odbijał się i nie rozchodził.

Główną naszą uwagę zwrócił mikrofon. Jest to bryła w kształcie prostopadłościanu, umieszczona w krążku metalowym. Wewnątrz mikrofonu znajduje się szczerzłota membrana niebywale czuła. Cena jej wynosi 2500 zł.

Pan kierownik udziela nam objaśnień, zwracając naszą uwagę na to, iż płyt gramofonowych nie można nadawać na zwykłym patefonie tylko na elektrycznym. Gra on tylko dla radiosłuchaczy, w studiu natomiast zupełnie go nie słychać.

Po długich oczekiwaniach nastąpiła w audycjach przerwa i w tym czasie urządzono małą audycję tylko dla nas. Pan kierownik wyprosił ze

studia wszystkie dziewczęta, oprócz tych, które miały przemawiać.

Gdy zapaliły się czerwone światła, cisza zapanowała w studio. Jeżeli mówiono za cicho, jeden z pracowników stacji podawał kartkę, na której pisało: „Proszę głośniejszo mówić, bliżej mikrofonu“.

Chociaż nie słyszał nas nikt oprócz koleżanek i urzędników, jednak drżałyśmy z wielkiej trwogi. — Skończyło się. Dziękowałyśmy Bogu. Przez cały czas byliśmy czerwone jak piwonie.

Gorąco podziękowałyśmy p. kierownikowi radiostacji i z nowymi wrażeniami, zadowolone rozeszłyśmy się do domu.

M. J.

Rozmowy z Czytelnikami

Stefcia Chmielarsówna.

Wiadomość, że jesteś chora, trochę mnie zmartwiła, ale, sądząc z obszerności i miłego listu, choroba nie jest bardzo poważna i mam nadzieję, że gdy dojdzie do Ciebie wiadomość, że jesteś przyjeżdża do rodzinki „Jutrzenki“, co niniejszym czynię, będziesz już zupełnie zdrowa. Adresów czytelniczek „Jutrzenki“ nie znam, ale możesz przecież za pośrednictwem swego pisemka napisać do którejś z nich.

Danuśka Bemówna.

Twoje rozwiązanie Danusiu, było jak zwykle, przyjęte. Postanowiem tylko narazie drukowania wszystkich nazwisk tych Czytelników, którzy nadesłali dobre rozwiązania, bo zajmowało to dużo miejsca w „Jutrzence“, co nie wszystkim Czytelnikom dogadzało. Czy Ci wobec tego twarz już poweselała?

Wiesława Minorówna.

Jestem tak bardzo zajęty, że nie mogę spełnić Twojej prośby i pisać do

